

TYGODNIK POLSKI

MATERIAŁY OBOZOWE

Rok II (IV)

Budapeszt, niedziela 6 lutego 1944

Nr 6 (29)

STABILIS

Układy czy dyktat?

Pierwsza faza pracowicie z różnych stron montowanych negocjacji, których celem miało być ponowne nawiązanie stosunków dyplomatycznych polsko-rosyjskich i definitywne wyklarowanie spornych spraw między obu państwami, zakończyła się demonstracyjnym trzaśnięciem drzwiami ze strony Rosji sowieckiej. Echo zatrzaśniętych drzwi rozległo się po całym świecie, efekt dramatyczny nie chybił więc, reżyserowie osiągnęli cel zamierzony. Momowoli nasuwa się jednak pytanie, przeciw komu demonstracja była skierowana, czy tylko i głównie Polskę chciano trafić, czy poza brutalnym gestem sowieckiej dyplomacji nie kryło się coś więcej, coś jakby otwarte karty programu rosyjskiego w stosunku do głównych sprzymierzeńców.

Albowiem Polska nie uczyniła nic takiego, coby w pertraktacjach międzynarodowych mogło uchodzić za akt nieprzyjazny. Deklarując gotowość do omówienia spraw granicznych z Rosją zaproponowała, aby w rozmowach uczestniczyli również dwaj pozostali partnerzy z »wielkiej trójki«, Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Oznaczało to poprostu: »nie chcemy z wami rozmawiać we dwójkę; chcemy mieć świadków którzy podjęliby w właściwej chwili rolę uczciwych pośredników«. Nie byle jacy mieli to jednak być pośrednicy, lecz niedawni współuczestnicy rozmów teherańskich, owianych jeśli wierzyć wydanym komunikatom głębokim nastrojem wzajemnego zaufania i sentymentu. Z propozycji polskiej nie było zatem wprawdzie gorące uczucie do Sowietów, ale trudno jej odmówić znamion chłodnej poprawności.

Nie sposób też przypuszczać, aby tak ważką decyzją, jak zamiar przesunięcia stosunków polsko-rosyjskich na obszerniejsze forum, zapadła bez porozumienia z zainteresowanymi rządami. Wydaje się, że tu leży sedno reakcji rosyjskiej i główny powód mocnej demonstracji. Obwinia się Polskę i jej Rząd ale na myśli ma się Anglię i min. Edena. Oznacza to ni mniej ni więcej, jak że Sowiety pragną sprawę swoich stosunków z sąsiadami oraz rozgraniczenia z nimi załatwić same, we dwójkę, przy użyciu argumentów płynących z wzrastającego z biegiem wojny

samopoczucia. Jest w tym stanowisku i oddźwięk teorii »Lebensraum« i zasada »strefy wpływów«, i poprostu stara rosyjska zaborczość.

Sowieckie trzaśnięcie drzwiami — to oczywiście nie koniec dramatu, lecz tylko zakończenie jednej sceny zapomocą jaskrawego efektu teatralnego. Uważny widz szybko ochłonie z wrażenia i wmyśli się w skomplikowaną sytuację, przypomni sobie sceny poprzednie. Pierwsza faza stosunków polsko-sowieckich po wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej zakończyła się układem, w którym Rosja anulowała swoją umowę z Niemcami z 1939 r. Unieważnienie umowy moskiewskiej oznaczało prawnie powrót do stanu z przed wojny a zatem do granic traktatu ryskiego. Tego słowa otwarcie, szczerze i bez niedomówień dyplomacja rosyjska wypowiedzieć nie chciała.

Nastąpiła wizyta gen. Sikorskiego w Moskwie i wspólna deklaracja podpisana przez Premiera Rządu Polskiego i Stalina. Wydawało się, że Polska i Rosja potrafią jednak znaleźć wspólny język.

Kiedy później doszło do tego szeregu nieszczerości i poważnych uchybień w stosunku Rosji do Polski, jak trudności stawiane rekrutacji Armii Polskiej a nade wszystko coraz groźniejsze wiadomości o losie Polaków wywiezionych w głąb Rosji oraz jeńców wojennych — rząd gen. Sikorskiego przystąpił do ofensywy dyplomatycznej i zażądał wyjaśnienia wytworzonej sytuacji i nagromadzonych punktów spornych na całej linii. Nie tylko więc sprawy zesłańców i jeńców, ale także sprawy granic. Sowietom moment wytoczenia tej kwestii wydał się niekorzystnym, ich wojenne sukcesy nie miały jeszcze dostatecznego wyrazu geograficznego, wymiernego na mapie ilością kilometrów i wielkością odzyskanego obszaru. Stąd zrodził się sposób reakcji rosyjskiej na polską pretensję o Katyń — zerwanie stosunków z Rządem Polskim, setki zarzutów o kokietery z Niemcami, w które nikt na całym świecie nie uwierzył i próby montowania własnego aparatu polskiego po stronie Sowietów. Obecna nowa faza wydała się rządowi sowieckiemu sposobniejszą do poprowadzenia rozmów na temat przyszłych wzajemnych stosunków i przysz-

łych granic. Na Polesiu i w wschodniej części województwa wołyńskiego stoją od kilku tygodni wojska sowieckie. Lada dzień ruchy wojenne mogą przynieść z sobą dalszą okupację ziem polskich przez Rosję. Sowiety pokładają nadzieje w sile argumentu faktów dokonanych w aureoli zwycięstw. Dlatego wobec Polski uprawiają w tej chwili zwyczajną wojnę nerwów. Zmęczyć, nastraszyć i skłonić do ustępstw — tak brzmi mniej więcej zasada zastosowana do Polaków. Chłodne przetoczenie przez Rząd Premiera Mikołajczyka sprawy na tor wspólnych rozpraw w gronie anglosaskich sprzymierzeńców groziło gruntownym popsuciem szyków dyplomacji uzbrojonej pięści. I tu dalsze źródło gniewu i gróźb. Groźby moskiewskie bowiem są właśnie tylko chyba groźbami. Prasa zagraniczna wszystkich odcieni i krajów zajmuje się żywo pytaniem, czy Sowiety nie zechcą w ogóle zlikwidować niezależności państwowej Polski, czy nie wprowadzą »Komitetu Patriotów Polskich« w Moskwie utworzonego do Polski jako Rządu Polskiego, a dywizji pułk. Berlinga jako armii polskiej. Nie należy wątpić że pewna ilość zaślepionych bolszewików może tego pokroju plan traktować na serio. Ale w Moskwie są jeszcze poza fantastami realiści polityczni, którzy nie zapomnieli losów narzuconego rządu Marchlewskiego, Dzierżyńskiego i Kona w sierpniu 1920 r. Wtedy również fantaści i polityczni awanturnicy przepowiadali entuzjastyczne przyjęcie bolszewickiego rządu w Polsce, a realiści z osłupieniem spoglądając potem musieli na codzienne przejawy jednozgodnego oporu płynącego z najszerszych warstw narodu.

Lekcja bez wątpienia pozostała w pamięci i będzie dziś przypomniana. Ludzie bowiem 1920 r. coś przynajmniej reprezentowali, jednostronną tradycję Socjal Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy — ale coś uchwytnego. Cóż jednak reprezentują »Patrioci Polscy« z Moskwy? Jakichś paru lewicowych pisarzy rozmodlonymi oczyma wpatrzonych w Rosję Sowiecką, paru politycznych bankrutów bez najmniejszego w Polsce zaplecza, bez rezonansu w masach polskiego ludu. Wandę Wasilewską Polska zna jako utalentowaną powieściopisarkę o skrajnych tendencjach. Polityczny jej talent bardzo niewysoko był ceniony w kołach, które stykały się z nią zanim

otwarcie już w czasie wojny przybiła do sowieckiego rydwanu. Pomysł jednakże postawienia tej małżonki sowieckiego komisarza dla spraw zagranicznych na czele jakiegolwiek, choćby marionetkowego rządu polskiego, byłby więc groteskowy. Na taką farsę mniej nawet może oburzanoby się, tym więcej jednak śmianoby się z niej. A czy warto analizować wartości Andrzeja Witosa, który żyje blaskiem nazwiska wielkiego krewnego, sam niejednej skazy nazwisku przydając. I kto z poza kadr zawodowych wojskowych znał do niedawna nazwisko owego pułkownika Berlinga, dowódcy polskiej dywizji w Sowietach formowanej, a niewiadomo przez kogo i jakiej armii mianowanego generałem?

Wszystko to ludzie bez poważniejszego znaczenia, ludzie nieznanymi, znani czasem z nienajlepszej strony, ludzie, którzy nikogo w Polsce nie pociągną. Operowanie ich nazwiskami przez bolszewików to chwyt taktyczny, który może w kołach zagranicznych sprawić chwilowo sporo zamieszania, ale jeśli miałby przemienić się w pozytywny program polityczny, skazany byłby na klęskę i niepowodzenie na całej linii.

Przed Sowietami stoi zagadnienie stosunków z Polską i Polakami w całej swojej rozciągłości. Albo dobre sąsiedztwo, prawdziwy pokój i przyjaźń, albo ciągle tlejące ogniki nieufności a w pewnych warunkach, zależnie od załatwienia, żądza odwetu i nienawiści. Żadna polityka faktów dokonanych nie wzbudzi nastrojów przyjaznych w narodzie polskim. Ani gwałt ani prawo pięści nie skłonią do zapomnienia o krzywdach doznanych przez Polskę i Polaków. O tym Rosjanie powinni i muszą wiedzieć — i to zrozumieć.

Gniew nie jest dobrym doradcą. Zagadnienia wojenne są tak liczne i tak wielostronne, że nieraz jeszcze przyjdzie Sowietom starać się o przychylność Stanów Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii, Hulla i Edena. Przyjdą sprawy bałkańskie i skandynawskie, śródziemnomorskie i perskie, sprawy dostaw materiału wojennego, środków żywności i późniejsze związane z odbudową kraju zniszczonego metodą »spalonej ziemi«. Przy tej czy innej sposobności znajdą się sposoby, aby chmura gniewu rozwinęła się. Nadejdzie godzina rozważki i — godzina rozmów a nie dyktatu.

ANK.

POŁUDNIOWA AMERYKA NA WIDOWNI

Przewrót argentyński dokonany w lecie ub. roku oraz niedawny pucz boliwijski zwróciły na siebie uwagę nie tylko bezpośrednich sąsiadów, ale zainteresowały w stopniu bardzo znaczącym opinię światową. Początkowo odosobnione stanowisko Argentyny (dziś doprowadzonej jednak do konieczności współpracy z U. S. A. — przynajmniej w formie passywnego partnera) zostało niespodziewanie poparte

przez grudniowy pucz boliwijski, wykazujący, ogólnie biorąc podobne tendencje, jakie cechowały przed tym poczynania rządu argentyńskiego.

Jeżeli chodzi o Boliwię to, bardzo wiele czynników złożyło się, a i składa się w ciągu dalszym na takie a nie inne ukształtowanie się tak wewnętrznie jak i zewnętrznie politycznych stosunków tego kraju. Zadrażnienia boliwijsko-paragwajskie, a przed tym

jeszcze chroniczne i trwające prawie do dziś spory peruwiańsko-boliwijskie stały się niemal przysłowowymi w dziejach Ameryki Południowej.

Przyczyny tkwią w społeczno-gospodarczej strukturze Boliwii, Peru i Argentyny — zupełnie różnej od struktury takiej Brazylii. Gdy bowiem federacyjne państwo bazylijskie, podobnie jak i republikańskie Chile reprezentowały zdawna tendencje demokratyczne mimo pewnych wahań i odskoków oraz liberalny system gospodarczy, to tak w Argentynie jak i w Boliwii, gdzie szczególnie rywalizacja w zakresie eksportu kauczuku z ościennym Peru była sprawą wielkiej wagi, górę brały prawie bez przerwy tendencje które nazwaby można ogólnie elitarnymi górnej warstwy, «czystych kreolów» — tendencje, podsyłane częstokroć z zewnątrz, skierowane przeciwko masie ludności, reprezentującej wielość najbardziej mieszanych typów rasowych. Proletariat boliwijski jest różnokolorowy. Dziś, przy niesłychanej koniunkturze na kauczuk — najważniejszy przedmiot podaży boliwijskiej produkcji przemysłowej — przeżywa zresztą znaczne podniesienie stopy życiowej. Planatorzy i właściciele terenów kauczukowych — «kauczerowie» już w czasach dostatecznej dawnych objawiali tendencje elitarno-dyktatorskie, które doprowadzały nieraz do rewolucyjnych powstań, puczów i wojen domowych.

W Argentynie bez porównania bogatszej i bardziej zróżnicowanej gospodarczo na zupełnie podobnym tle doszło do umocnienia się przy władzy partii na swój sposób usposobionej «totalitarnie». Tu dochodzi moment swoistej rywalizacji tradycyjnej w stosunku do U. S. A. na terenie Południowej Ameryki.

Grudniowy pucz w Boliwii doprowadził do objęcia władzy przez elementy, które niedwuznacznie i niejednokrotnie akcentowały swoje tendencje antydemokratyczne. Zaniepokojenie sfer rządzących U. S. A., a następnie ostra reakcja, wyrażająca się przez nieuznanie nowego rządu boliwijskiego, wynikało stąd, że w zmianie rządu w Boliwii Stany Zjednoczone dostrzegły działanie czynnika zewnętrznego godzącego w prowadzoną przez rząd waszyngtoński politykę południowo-amerykańską. Nie trudno zresztą dostrzec, że za boliwijskim puczem kryły się pewne ukryte tendencje antyalianckie. Nic więc dziwnego, że reakcja była bardzo silna. Odwołanie chargé d'affaire U. S. A. w Boliwii nastąpiło pomimo gorliwych zapewnień posła Boliwii w Waszyngtonie Itturaldo, jakoby nowy rząd boliwijski opierał się na rewolucyjnie wyrażonej woli ogółu społeczeństwa.

Akcja przeciwstawienia się boliwijskim przemianom nie ograniczyła się zresztą tylko do akcji dyplomatycznej samych Stanów, ale osiągnęła znacznie większy zakres, czego wyrazem stało się zerwanie stosunków dyplomatycznych z Boliwią ze strony Brazylii, Meksyku, Chile, Panamy, Kolumbii, Wenezueli, Kuby, Urugwaju, Peru, Costariki, Guatemali, Haiti, Hondurasu i San Domingo. Akcentuje to zresztą fakt, że nie uważa się ani w Stanach Zjednoczonych, ani w pozostających w zasięgu ich poli-

tyki zagranicznej państwach Ameryki łacińskiej tła zmiany rządu w Boliwii za sprawę jedynie wewnętrzno-politycznej natury.

Dochodzą tu jeszcze dotkliwie posunięcia gospodarcze U. S. A. w postaci zamrożenia boliwijskich wkładów bankowych, co wskazuje na to, że rząd waszyngtoński zarzucił ostrożność i rezerwę zachowywaną dotychczas przynajmniej oficjalnie wobec nieprzyjaznych kierunków w krajach Południowej Ameryki, traktując przewrót ostatni w ramach dywersji przeciw U. S. A. dyrygowanej z zewnątrz Boliwii jak oficjalnie stwierdził Cordell Hull.

Te energiczne posunięcia wobec Boliwii miały swój skutek w Argentynie. Ogłoszono tam zerwanie stosunków dyplomatycznych z państwami osi. W związku z tym wynikł w Argentynie kryzys rządowy — zgłosiło dymisję trzech ministrów znanych z sympatii prosoiowych między innymi minister spraw wewnętrznych, gen. Perlinger. Równocześnie nastąpiła charakterystyczna wymiana depeš między gen. Ramirezem — obecnym prezydentem Argentyny a gen. Rawsonem, jednym z przywódców liberalnej grupy wojskowej, który odegrał wybitną rolę w przewrocie z 4. VI. został potem usunięty w cień i wysłany na stanowisko ambasadora do Brazylii. Na gratulacje gen. Rawsona z powodu zerwania stosunków z osi gen. Ramirez odpowiedział z nieukrywanym rozdrażnieniem podkreślając, że zasady przewrotu pozostają w mocy. Jednocześnie podkreśla się, że stosunki wewnętrzne zmianie nie uległy.

Wydaje się to jednak mało prawdopodobne, aby nacisk polityczny Stanów Zjednoczonych ograniczył się tylko do wymuszenia pewnych posunięć na terenie polityki zagranicznej i by sprawy wewnętrzne pozostały im obojętne.

Spraw tych od siebie oddzielić nie można, te rzeczy rozumie się w U. S. A. nie od dziś. Główny punkt ciężkości spoczywa przecież w sprzecznościach ideologicznych będących wyrazem sprzecznych dążeń społeczno-politycznych. Wyrazem zrozumienia tego na terenie południowo-amerykańskim była w swoim czasie podróż propagandowa wiceprezydenta Stanów Wallace'a kierująca w znacznej mierze swoje wysiłki ku zdobyciu szerokich mas ludności południowo-amerykańskiej. Wykazana w ostatniej rozgrywce jedność reakcji w kierunku przeciwdziałania próbom naruszenia solidarności państw południowo — amerykańskich wskazuje, że w kierunku cementowania solidarności amerykańskiej zrobiono znaczne postępy, które jeszcze kilka lat temu zdawały się trudne do pomyślenia.

TREŚĆ NR. 29.

Stabilis: Układy czy dyktat? ~ Ank.: Południowa Ameryka na widowni. ~ Stefan Pomarański: Bitwa pod Warną. ~ Wojciech Korczak: O Dunaju i sporcie wędkarskim. ~ Tibor Csorba: Sztuka węgierskiego pasterza. ~ Julian Tuwim: Kwiaty polskie. ~ Wojna zimowa. ~ Pomyślne wiatry. ~ Barbara Król: Pax Vobiscum. ~ Ze świata. ~ Tadeusz Fangrat: Niedocieczony wątek. ~ Z działalności Komitetu Obywatelskiego. ~ Świetlice obozowe. ~ Życie uchodźcze.

STEFAN POMARAŃSKI

2)

BITWA POD WARNA

W OŚWIETLENIU TURECKIEJ „KORONY KRONIK”

»Tymczasem nieszczęsny król Węgier w szalonym zapędzie pchnął rumaka ku chorągwi sułtańskiej. Wnet spełniono rozkaz Murada. Dzielni żołnierze rozstępują się przed onym wściekłym, osaczają go wraz z nikczemną drużyną. I oto dzielny janczar, Khoja-Khizr rzuca się na wściekłego szaleńca odcina mu głowę, składa ją przed sułtanem. Rozradowany Murad wystawia dzielnego rycerza, przyrzeka mu łaskę monarszą. Nieszczęśliwi, którzy poszli za bezbronnym panem, istne jelenie obskoczone w lesie obławą (a wiemy skądinąd, że było to rycerstwo polskie), padli wszyscy pod grotami muzułmanów».

»Wkrótce zwycięstwo, niby młoda oblubienica, odrzuciło natrętny welon i wychyliło promienne oblicze przed okiem triumfującego monarchy» — czytamy dalej — »Chwała Przedwiecznemu! — zawołał Murad — za Jego sprawą pokonałiśmy wroga! I rozkazuje osadzić na włóczni głowę królewską, by widokiem jej przeraził wzrok niewiernych!».

I tak się stało: »Grzmot bębnow oznajmił zwycięstwo. Muzułmanie pod sztandarem triumfu wypuszczają bieguny, pędzą w cwał na chrześcijan». Oni zaś »skoro spostreegli włócznię z głową bez mózgu nieszczęśliwego Władysława, porwani porwani trwożą, jęli pierzchać na wszystkie strony. Próżno przeklęty Janko (Hunyady) usiłuje dodać im serca daremnie woła: »Nie przyszłiśmy tu dla króla węgierskiego, jedynym celem naszym strzec wiary Chrystusowej!». Wszystko napróżno! Bezbożnicy przerażeni naciskiem wiernych, widzą tylko drogę ucieczki. Z drugiej znów strony muzułmanie, którzy zbiegli z pola, spostreższy zdaleka złote jabłko zwycięskich proporców islamu, zwracają się wstecz, dobiegają straży sułtańskiej i wszyscy razem uderzają na chrześcijan, których siły omdlały pod natarciem, jakby pochodnie zgazowane pędem wiatru».

Chrześcijanie ulegli panice. »Dawud-Pasza na czele dzielnych żołnierzy z Rumelii pędzi na karkach niewiernych do Dunaju. Przez dwa dni i dwie noce troczy jeńców, kogo napotka poi go czarą śmierci. Dwieście pięćdziesiąt wozów pełnych srebra i kosztowności wpadło w ręce zwycięzców. Łupy rozdzielono między siebie».

A cóż czyni triumfujący Murad? Oto »przebiega pobożewisko, rozpoznaje poległych, a nie widząc pomiędzy niewiernymi, którzy padli w boju, żadnego z białą brodą, pyta Azeb-beja, co by to mogło znaczyć? Gdyby który z nich miał brodę białą, odrzecz na to Azeb-bej, nie wzięłby udziału w tak szalonej wyprawie i nie narażał się na niechybną śmierć w uniesieniu młodzieńczym! Następnie Murad... »kazał przywieść przed siebie wodzów, zbiegłych nikczemnie z pola bitwy. Jednych oddał pod miecz, drugich kazał oblec w szaty niewieście i oprowadzać wśród obozu. Roztropni wodzowie potarli obliczem stopnie tronu i błagali sułtana, aby surową karą nie zamącił dnia tak pięknego. Dobry monarcha skłonił się do prośby

wezyrów. Odebrał tylko winnym wysokie dostojeństwa». Natomiast »głowę nieszczęśliwego króla Węgier oblaną miodem, aby lepiej się zachowała, wyprawiono do Brusy. Tam wydobyto ją z naczynia, obmyto w wodzie, zatknięto znów na włócznię i triumfalnie obnieszono po ulicach miasta wśród radosnych okrzyków».

Wiść o zwycięstwie tureckim rozeszła się szybko. Murad wyprawił z nią gońców« na dwory wszystkich muzułmańskich ksiąząt». A »żeby okazać im własną moc, posłał im w darze jeńców chrześcijańskich, obleczonego w pancerze ze stoczonymi rękoma i nogami. Sam Azeb-bej powiódł dwudziestu pięciu do sułtana Kairu, Egipcjanie wziętego ciała, na widok tych atletów niewiernych podziwiali męstwo Ottomanów — Bóg widocznie wspiera ten lud! — mówili między sobą». Murad zaś zapłaciwszy Przedwiecznemu dług wdzięczności, wrócił pełen szczęścia i chwały do Adrianopola.

Tyle »Korona Kronik« według relacji »Biblioteki Warszawskiej«. Saad Eddin dał w niej garść niewątpliwie cennych szczegółów potwierdzających fakt, że w pierwszej fazie bitwy zwycięstwo było przy chrześcijanach, że następnie dzięki śmierci walecznego króla, który sam rzucił się w wir walki, uderzając na stanowisko wodza tureckiego, szale się odwróciły. Interesujący jest zwłaszcza dość dokładny opis śmierci króla; dowiadujemy się przy tym, że bezpośrednim jej sprawcą był janczar Khoja-Khizr i że głowę królewską zatkniętą na włócznię obnoszono na polu bitwy, a następnie w stolicy państwa. Stąd wniosek, iż dla Turków los króla nie podlegał wątpliwości i że nadzieje, jakie żywiono czas dłuższy na Węgrzech, a zwłaszcza w Polsce o wzięciu go do niewoli tureckiej były płonne.

Władysław — król dwóch narodów spoczął jak żołnierz na polu bitwy, nierozpoznany i okaleczony, w zbiorowej mogile, kryjącej zwłoki poległego rycerstwa. Domniemane miejsce jego spoczynku na rozległym błoniu oznaczono wyniosłym kopcem, na którym ręka współczującego rodaka, o ile mnie pamięć nie zawodzi, Edwarda Raczyńskiego, sto lat temu wzniosła skromny pomnik i wryła stosowny napis. W oczach mam dotąd widziany w dzieciństwie w starym roczniku »Tygodnika Ilustrowanego« drzeworyt, przedstawiający pole bitwy warneńskiej, ów kopiec, a na nim będący w ruinie nagrobek. Po wielu latach w zmienionych po pierwszej wojnie światowej warunkach politycznych, zastąpiono go wspólnym mauzoleum, którego białe kolumny ściągają z oddali wzrok wędrowca. Wybudowane ono zostało, staraniem rządu bułgarskiego przy współudziale Polski ku wiecznej pamięci potomnym...

Natomiast, »wielki Murad« niedługo zażywał chwały odniesionego zwycięstwa, gdyż w walce ze Scanderbergiem szczęście mu już nie dopisało, a w 1451 roku dokonał swego żywota. Spoczął on w gaju cmentarnym »władców wschodu« w Brusie.

»Pod cyprysami, wysokimi jak wieże, pod stuletnimi platanami, wielkimi jak baobaby nubijskie, toną w cieniu kioski, służące za miejsce wiecznego spoczynku sułtanów — opisuje ten cichy i zapomniany dziś zakątek dawnej stolicy państwa Otomańskiego, Piotr Loti — Róże, niby liany, biegną od jednego drzewa do drugiego, roztaczając z zadziwiającą szczodrością przepych swych kwiatów na ścieżkach, porośniętych chwastami. Wszędzie woda tryska w starych fontannach, a ptaki mają swe gniazda na wszystkich gałęziach. Jest to gaj cienia, a przede wszystkim gaj róż...«

Wśród dziesięciu grobowców, pod konarami potężnego platanu, obok małego basenu marmurowego z ciągle bijącą wodą, stoi »Turba« sułtana Murada II. Polski podróżnik, Kacprowski, którego losy bodają w 1925 r. zaniósł w to ustronie, tak opisuje miejsce wiecznego spoczynku zwycięzcy z pod Warny (»W dawnej stolicy padyszachów«, w miesięczniku »Naokoło świata« Nr. 1) : »Na zewnątrz rzuca się w oczy, ogromny okap z drzewa

rzeźbionego nader wytwornej roboty ozdobiony stalaktytami i pokryty arabeskami malowanymi i powleczo- nymi lakierem... Wnętrze przedstawia salę kwadra- tową z wybielonymi wapnem ścianami. Sama trumna jest zgoła odrębna od tych, w jakich chowano sułtanów, zgodnie ze zwyczajem. Oto pośrodku sali stoi skrzynia marmurowa, napełniona ziemią bez pokrycia, w której spoczywają zwłoki kalifa. Murad II bowiem, w przeci- wieństwie do swych przodków, chciał, aby go pochowano w ziemi i aby woda z niebios zraszała jego mogiłę. W tym celu kopuła, przykrywająca grobowiec, posiada w wie- rzchołku otwór, przez który mogą padać krople deszczu na trumnę... Pod wzgędem dekoracji i artystycznego wykończenia, jest to może najskromniejszy grobowiec ze znajdujących się tutaj — stwierdza Kacprowski — jak- kolwiek muzułmanie otaczają go największą czcią«. Istnieje przypuszczenie, że w grobowcu tym złożono także urnę z głową zwyciężonego króla Polski i Węgier...

WOJCIECH KORCZAK

O DUNAJU I SPORCIE WĘDKARSKIM

Jesienna zawierucha rozpanoszyła się nad brzegami Dunaju. Ścieżką wiodącą przez pola i laski akcyjne bie- głem drząc z chłodu — aby zobaczyć jeszcze raz ulubioną rzekę. Z przybrzeżnych zagaj wiatr niósł zapach opadłych liści i mieszał go z wonią dna rzeki, opuszczonego czę- ściowo przez wodę. Na wychylonej z wody wielkiej ławicy piaszczystej, siedział orzeł, otoczony stadem wron jak kwoka piskletami w pobliżu zaś chmary ptactwa wodnego szukały żeru na płycznach. Żalodne krzyki głodnych rybitw przelatujących w mgłę, unoszącej się nad wodą, — były dowodem zamierania życia, które tak niedawno jeszcze wrzało we wodzie. Nie słychać już plusku ryb ani — święgotu przelatujących jaskółek, tylko jednostajny chłopot i szmer wody, niepokojonej przez wiatr.

Przy kamiennym wale stał sklecony z trzcin wodnych mały szałasik opuszczony już przez rybaków. Naz- bierałem patyków, rozpałem przy wejściu do szałasu ognisko i patrząc na rzekę pogrążyłem się w myślach. W wyobraźni mojej zaczęły odżywać spędzone wiosenne i letnie dni na brzegu Dunaju.

... Zamiłowanie do łowiectwa spotkało się na uchodźst- wie z wielu przeszkodami. Dlatego też wielu uchodźców znalazło w wędkę ujście dla t. zw. żyłki myśliwskiej lub dalsze kontynuowanie jeszcze w Polsce uprawianego z zamiłowaniem sportu wędkarskiego.

Uprzejmość władz węgierskich i właścicieli lub dzierżawców rewirów rybackich, ułatwiła nam przystęp do wód, obfitujących w rozmaite — gatunki ryb.

Spotykałem uchodźców, którzy wkładając wiele pracy łowili przy pomocy sieci czy też sznurów większą ilość ryb, uzyskane zaś pieniądze za sprzedane ryby

przeznaczali na polepszenie bytu swych rodzin. Sportowi wędkarskiemu należy tutaj poświęcić więcej miejsca. W czasie połowu pstrągów w Lillafüred opo- wiedziałem memu towarzyszkowi — żart o rybaku, który łowiąc w czasie silnego mrozu w przerebli mógł dać odpowiedź na pytanie zaciekawionego przechodnia, dopiero po wypluciu robaków które trzymał w ustach... z obawy aby mu nie zamarzyły... Towarzysz mój us- miechnąwszy się oświadczył mi, że po wędkarzach wszystkim można się spodziewać, gdyż nie są to zupeł- nie normalni ludzie... Czy taki zapaleniec wpatrzony cały dzień w spławik jak sroka w kość może być nor- malnym człowiekiem?! Przypatrzmy mu się bliżej. Sport wędkarski wytwarza nieraz w najpoważniejszym człowieku uczucie niemal — dziecięcej radości i zado- wolenia. Zapomina zupełnie o troskach życiowych — przebiega dziesiątki kilometrów, zmęczenie nie odgrywa tu zupełnie roli; chciałby słońce wstrzymać w biegu i z głębokim smutkiem żegna jego wspaniałą tarczę zapadającą za widnokrąg. Niejednokrotnie wraca do domu — z pustą siatką, złamanem wędzidłem, zosa- wiwszy w dodatku na dnie rzeki urwany przypon z całym uzbrojeniem. Ile razy taki zapaleniec przyrzeka sobie, że już więcej nie zamacza wędki w tym czy w innym miejscu, gdzie na dnie czyhają potwory w postaci kamieni, gałęzi lub zatopionych pni starych drzew. o które zaczepia nieraz na »amen« i z rozpaczliwą decyzją urywa wędkę przyrzekając też sobie z irytacji kil- kodniową przerwę w łowieniu. Ale już na drugi dzień ziemia ucieka mu z pod nóg, a w duszy śpiewa radosna nuta. »A czy będą czy nie będą to my na nie zawsze z wędą« i zapomina o niepowodzeniu dnia wczoraj-

szego. A rzeka zawsze wita swego przyjaciela dając setki niespodzianek, nęcąc go jak kochanka. Tu zatoka cicha, tam wspaniałe wiry, tu głębina tam prąd nurtu, odbitego od wałów kamiennych, i tu dobrze i tam, chciałoby się wszędzie zająć stanowisko, Usiadłeś tu, zacząłeś połów, już ci się zdaje, że tam było lepiej, — a w pogoni za drapieżną rybą to brak tylko skrzydeł!...

Nad wodą znalazł niejedną już upragnioną spokój i zapomnienie smutnej rzeczywistości. Każdy skrawek wody przypomni mu i przeniesie go myślami i wyobraźnią do naszych polskich rzek jezior i górskich strumieni. Wędkarz oczekuje wiosny jak zbawienia po smutnych długo ciągnących się dniach zimowych. Kto mieszkał nad Dunajem nie zapomni uroku tej rzeki w czasie wiosennym...

... Krzyki przelatującego ptactwa wodnego przerywały moje myśli. Chłód wstrząsnął mną do głębi. Dołożyłem do ogniska patyków i po chwili znowu zapadłem w zadumę...

Było lato. Z panem Staszkiem majstrowaliśmy koło naszych wędek, a potem bieглиśmy nad Dunaj. Rozmaicie bywało. Czasem musieliśmy wracać nic nie złowiwszy gdyż stan wody był niekorzystny, czasem znowu nagłe zmiany pogody, jak silne wichry lub deszcze, zmuszały nas do ucieczki. Ale były też i piękne dni. Dunaj przybierał barwę błękitną. Powietrze drgało od rozpalonych promieni.

Myślami przenosiłem się wówczas nad ukochany Poprad, Prut czy Świąc, pan Staszek zaś nad swój Dniestr, którego mianem chrzczył już niejednokrotnie przez zaponnienie Dunaj.

Łowiliśmy sandacze, bolenie, czasem trafił się szczupak, sum lub inna drobna ryba. Połów boleni jest bardzo ciekawy ze względu na ich drapieżność, i wagę dochodzącą nawet do dziesięciu kilogramów. Bolenia można nazwać rekinem Dunaju. Żeruje on pod samą powierzchnią wody, a w pogoni za małymi rybkami, które stanowią jego pokarm — wyskakuje na powierzchnię wody z głośnym pluskiem. Bolenia łowi się na błyski czyli blaszki, imitujące małe rybki lub białe pióra, w których ukryty jest kotwiczny hak. Łowienie sandaczy jest również bardzo interesujące. Sandacz żeruje nad różnymi głębokościami wody, szukając oparcia wśród kamieni spoczywających na dnie. Łowienie sandacza jest trudne, gdyż z łatwością można zaczepić na dnie o kamień lub inną przeszkodę i utracić w ten sposób drogi sprzęt. Sandacza nie jest trudno wyciągnąć na brzeg, gdyż stawia mały opór, posiada jednak tak twardą budowę wewnętrzną paszczy, że często hak źle się zaczepiwszy przy małym zwolnieniu sznura wypada. Sandacz należy do najszlachetniejszych ryb Dunaju. Łowi się go też na błyski, — lecz odpowiednio zaczepiona na hak mała ryбка lub nawet tylko ogonek z rybki, wystarczy na przynętę. Sandacz jest również jak bolen wielkim drapieżnikiem. Rzadziej spotyka wędkarz suma, gdyż ten żeruje spodem rzeki w sporem oddaleniu od brzegu, jest jednak zawsze miłą niespodzian-

ką — o ile nie jest tak wielki, że wciągnie rozdygotanego z emocji rybaka po pas do wody, wreszcie zerwie sznur i machnie na pożegnanie ogonem... Warto wówczas sfotografować minę szczęśliwego wędkarza... Łowienie karpki inaczej się przedstawia, gdyż wyczekiwanie całymi godzinami w jednym miejscu, bez ruchu, nie może dać tej satysfakcji sportowej, jak przy łowieniu drapieżnej ryby, gdy wędkarz przy pomocy multiplikatora wyrzuca na kilkadziesiąt metrów przynętę, poczym szybko ją z powrotem ściąga, zważając bacznie na gwałtowny ruch ryby rzucającej się na nią.

Oryginalną rybą w Dunaju jest t. zw. sum karłowaty, sprowadzony z Anglii. Można powiedzieć, że całe dno Dunaju jest zapełnione tą małą rybką, stanowiącą niemal plagę rzeki, z powodu jej drapieżności i żarłoczności. Niszczy ona wielką ilość małego zarybku innych ryb, sama zaś broni się przed większymi drapieżnikami dwoma ostrymi kolcami. W czasie kiedy inna ryba nie »bierze«, chętnie każdy wędkarz zabawi się jej łowieniem na robaka. Należy przy odczepianiu z haczyka uważać na jej ostre kolce, których ukłucie jest bardzo bolesne. Spotykałem nieraz naszych uchodźców łowiących te rybki, nie tyle z zamiłowania sportowego, ile dla dożywiania się. Mięso suma karłowatego jest bardzo smaczne i tłuste.

Jest w Dunaju wiele innych ryb, rzadziej osiągalnych dla wędkarza. Jest piękna czeczuga »księżniczka Dunaju« są zwykle brzany leszcze, okonie i wiele gatunków białej ryby.

Największą przykrością dla wędkarza są statki pływające Dunajem. Powodują one silne falowanie wody, — fala taka porywa z brzegów namul zanieczyszczając w ten sposób nurt przybrzeżny i zmusza wędkarza często do ucieczki i długiego wyczekiwania na oczyszczenie się wody.

Łowiliśmy ryby i w innych warunkach. Poczynała być paczka zapalonych wędkarzy w miejscowości leczniczej Hévíz. Łowiliśmy tam małe karpie, podpływające z Balatonu w górę małą rzeczką a zwabione ciepłą strugą źródlanej leczniczej wody. Byli i tacy którzy nawet w zimie zajmowali się wędkarstwem — mając możliwość obserwowania anormalnego życia stworzeń w ciepłej wodzie.

Gdziekolwiek był zorganizowany polski obóz, zawsze znaleźli się wędkarze, którzy wiele czasu poświęcali temu sportowi, zaopatrując często w odżywczy pokarm niejedno ognisko domowe.

.. Przepluwający statek chlusnął falą w brzegi Dunaju. Ocknąłem się z zadumy. Połowę nieboskłonu zapełniły niskie śniegowe chmury, gnane coraz silniejszym wiatrem.

Zbliżał się wieczór. Przejmujący chłód wiał od rzeki, która przybrała barwę stalowo szarą. Niewysłowiony smutek ogarnął moją duszę i tęsknota za minionymi dniami, które dały tyle ukojenia w przykrych doli uchodźczej. Ognisko wygasło. Idąc żegnałem Dunaj, spoglądając na jego szerokie łóżysko.

TIBOR CSORBA

SZTUKA WĘGIERSKIEGO PASTERZA

Jest to mała a jednak ciekawa gałąź wielkiej sztuki ludu węgierskiego, pełna bogactwa folklorystycznego. Zwykle używane przez gulyasa, csikosa, juhásza, kanasza (nazwy pasterzy) przedmioty są wykonywane z najdośćniejszego materiału: drzewa, kości, rogu, skóry zwierzęcej i tp. Pasterze byli i są zawsze biedniejsi od chłopca. Nie mając pieniędzy, wykonują te przedmioty nadzwyczaj oszczędnie, bez dodawania innego materiału. Robią je dla przyjemności i praktycznego użytku. Do pierwszej grupy należą wszystkie przedmioty, ściśle związane z zawodem: kij, siekierka, bicz i tp. W następnej grupie znajdują się przedmioty, które pasterz zabiera zawsze z sobą: tornister, nożyk (bigylibiczka), madinanosz (jak nazywa się pudełko do zapalek), trąbka, lusterko i tp. Wreszcie te, które zostawia w chacie (tanya): skrzynka do chleba, przybory do golenia i inne różne przedmioty, które mają specjalne pasterskie nazwy, nie dające się tłumaczyć na język polski w ścisłym ich znaczeniu zwłaszcza z takim odcieniem wyrazu z jakim wypluwa je pasterz węgierski, kiedy z fajką w ustach, oparty na kiju, spogląda na swój kierdeł.

Zaznaczyć należy, że wszystkie te przedmioty projektuje zawsze sam pasterz, choćby je powierzał do wykonania kowalowi, ślusarzowi lub innemu rzemieślnikowi.

Do sztuki pasterskiej, obok wyliczonych już przedmiotów, należy jeszcze to wszystko, co pasterz niezależnie od swego zajęcia, wykonywa dla kogoś w formie podarunku, lub pamiątki. O ile jest żonaty — struże dla żony łyżkę drewnianą, pralkę, patyczki do kwiatów; jeżeli ma dziecko — robi mu różne zabawki.

Wykonuje również artystyczne krzyże na groby dla swych ukochanych. Ciekawe, że pracując u kogoś zostawia mu zwykle na pamiątkę rzecz taką której on sam nie może używać w swoim prostym szarym życiu: puhań na polowanie, ozdobną łaskę z rogiem stołową zapalniczkę.

Mówi się przeważnie że artysta-pasterz — to juhász; pasterz owiec które pasą się spokojnie, gdy piesek, púli, czuwa nad stadem. Mając dosyć czasu, juhász struże dla swojej przyjemności tyle ile zechce. Gulyás (pasterz bydła — musi zawsze patrzeć na stado, csikos na konie, kanas — na świnię, więc nie mają tyle czasu na spokojne struganie i bogacenie sztuki pasterskiej.

Istotnie juhász ma najwięcej czasu i spokoju, jednak wyrobami artystycznymi zajmują się ci pasterze, którzy posiadają odpowiednie zdolności. Wielu jest takich pasterzy, którzy potrafią sami wykonać niezbędne dla siebie przedmioty. Artystów pasterzy jest oczywiście mało a ilość ich zmniejsza w dodatku współczesna kultura.

Imię zdolnego artysty-pasterza rozgłaszają koledzy. W całej puszczy głośno jest o tym, że np. Anti bácsi (Wujek Antoni) robi wspaniałe rzeczy z drzewa, ze skóry lub innego materiału. Nawet z dalekiego świata

przyjeżdżają ciekawi oglądać i kupować te przedmioty wykonywane często w ich obecności, płacąc za nie pieniędzmi lub w naturze.

Zasadniczą rzeczą jest to, że artysta-pasterz kształci się między pasterzami. Już jako mały chłopak widzi jak należy drzewo suszyć, przechowywać latami aby kiedyś je zużytkować. Widzi codziennie jakie przedmioty są mu potrzebne i jak należy je wykonywać, aby miały piękny wygląd. Ma tu również swoje znaczenie rozgłos, sława, która potrafi zapalić pasterza do pracy oraz popyt na sprzedawane przez niego przedmioty. Duch artystyczny węgierskiego pasterza korzysta z podobnych źródeł, z jakich korzystają prawdziwi artyści.

Wiadomo, że sztuka węgierskiego była niezmiernie bogata i kwitła wszędzie tam, gdzie panował język węgierski. Wartość jej zmalała w ubiegłym stuleciu, kiedy gminne łąki i majątki zostały rozparcelowane. Zmieniło się życie pasterza, a zmiana ta nie pozostała bez wpływu na jego sztukę w pojęciu ujemnym. W części pozadunajskiej na stepach Alföld jest dziś najwięcej artystów-pasterzy, którzy czystą sztukę pasterską zachowują po dziś dzień.

Pasterz węgierski jest specjalistą w drzewoznawstwie. Wie doskonale jak poszczególnie gatunki drzewa przechowywać i z jakiego drzewa najlepiej dany przedmiot z robić. Dużo można powiedzieć o tym, jak pasterz dba o materiał, jak gromadzi go i pilnuje. Narzędzia, jakimi się posługuje to zazwyczaj proste scyzoryk lub stara brzytwa. Prawdziwy artysta uzupełnia kolekcję swych narzędzi, które są również artystycznie wykonane. Obserwując je, musimy stwierdzić, że kultura artystyczna pasterza węgierskiego jest ciekawa i godna zainteresowania.

O ile chodzi o technikę wykonania — jest ona zwykle i wszędzie ta sama. Na gładko oczyszczonym przedmiocie zaznacza się kontury. Tylko starzy mistrzowie nacinają motyw bezpośrednio. Znaczący nacina lekko wzór. Następnie nacięcia wypełnia atramentowym ołówkiem lub lakiem. W ten sposób ornament staje się bardziej widoczny. Cały przedmiot natłuszcza wreszcie tłuszczem z kapelusza, lub tłuszczem zmieszonym z prochem. Czasami nacięcia te zalewa się cyną lub ołówkiem, a w niektórych częściach Węgier używa się do tego miedzi, celuloиду lub kostki. Tak załany przedmiot wyrównuje się zupełnie otrzymując gładką powierzchnię. Plastykę stosuje się tylko przy wyrobach z drzewa oraz ze skóry (tornistrów i tp.).

Bicz węgierskiego pasterza jest nieraz dziełem prawdziwej sztuki. Pasterz żadnego narodu, nie potrafi zrobić takiego bicza jak pasterz węgierski. Często składnikiem bicza jest chusteczka ukochanej. Cztery, nieraz 16 pasków rzemieślnych umocowanych na rękojeści z kolby kukurydzianej lub plecionce ze słomy pszenicznej, albo innym materiale, stanowi całość

bardzo skomplikowaną i artystyczną, którą pasterz robi przez długi czas, a której nie można się napatrzeć.

Ornamenty bierze pasterz z figur i przedmiotów, z którymi styka się w codziennej swojej pracy, lub z tych, które rodzą się w jego fantazji. Rośliny, trawy, zwierzęta, ptaki, kościół, eucharystia, królowie, bohaterzy, betyarzy, o których szumi mu wieczorami wiatr na pustyni, wszystko oczywiście bez naturalizmu, sposobem stylizowanym znajdziemy w jego twórczości. Stylizowanie to jest bardzo efektowne w czym pasterz węgierski może być mistrzem. Charakterystyczne jest to, że lubi i umie ciekawą kompozycją wypełniać całą powierzchnię przedmiotu. Czyni to miło, prosto, naiwnie, nawet dziecinnie, w sposób przypominający stare baśnie i ich bohaterów.

Do niedawna myślano, że sztuka węgierskiego pasterza jest dzieckiem Wschodu i pewnych źródeł należy szukać aż w epoce Sasanidów. Dziś natomiast jest rzeczą jasną, że sztuka ta wyrosła poprostu z milieu, z ziemi węgierskiego pasterza, że łączy się bezpośrednio z innymi terenami sztuki ludowej. Jako żyjąca w puszczy w odosobnieniu zachowała najwięcej z tego, co nazywamy węgierszczyzną, duchem artystycznym węgierskiego narodu. Praca pasterza ma specjalną wymowę która uderza nas w muzeach. W Muzeum Etnograficznym, największym i najciekawszym tego rodzaju w Europie, sztuka ludowa, nie tylko polska, pięknie przemawia do każdego, specjalnie zaś Polaka, którego sztuka ludowa jest bliska węgierskiej. Istnieje niewątpliwie pokrewieństwo między sztuką ludową Polski i Węgier.

JULIAN TUWIM

KWIATY POLSKIE

Fragment poematu

W tych czasach autor tej gawędy,
Dla różnych swoich wad i przywar,
Których mu Stwórca nie poskąpił,
Salonów jeszcze nie dostąpił
A w kuchni już nie wysiadywał.
Bo dawniej, w swem chłopiectwie lubem,
Gdy spleen dziecięcy go ogarniał,
Kuchnia mu była pierwszym klubem,
Jak potem knajpa i kawiarnia.
Następnym był już Pen Club. (Sorry!
Wolę ten łódzki do tej pory.)

»Od kuchni«, było wejście życia:
Wrywało się to obce, rzadkie,
Nowiną nęcąc i przypadkiem...

I wpadał wiatr, innością tchnący,
Pomiędzy 'biedą i dostatkiem.
Tak między »słotą« i »pogodą«,
Niepewna czy się niebo przetrze,
Waha się igła w barometrze...
Nasza domowa w Łodzi mrocznej
»Pochmurno« miała w średniej rocznej.
Od drzwi kuchennych do frontowych
Tam i z powrotem wiodły drogi
Mieszkańskiej naszej socjologii —
I tak się wdech klasowy budził,
Zdecydowany p o d z i a ł l u d z i :
Od frontu »pan« przychodził, »panie«,
Od kuchni — »człowiek« lub »kobieta«,
Tutaj — »znajomik«, tam — »nieznani«,
Tu — my, tam — oni, jacyś, skądciś,
Którym zakazał ktoś przez front iść...

Od kuchni przychodzili biedni
Po darowany chleb powszedni,
W mróz sine ręce rozgrzewali

Nad czerwonymi fajerkami,
Chciwie gorącą zupę jedli —
Grochową gestą, z zacierkami.
Czasem, jak echo starej pieśni,
Muzyce maszyn nierówniejszej,
Pół-fantastyczny, jak z Nestroya,
Wędrowny zjawiał się rzemieślnik,
Ostatni świata obywatel
Dumny, że jest obięzyswiatem.
Tam zdun mogiłny w piecu gmerat
I z białych kaśli go odzierał
Do czerwonego mięsa cegiel.
Charczał jak we śnie, rzeził, sapał...
Z trudem, jak piec, powietrze łapał...
Patrzyłem, jak się paprze, grzebie,
Rękoma grzeząc w glinnej mazi,
A kiedy za głęboko wlaził,
Grabarzem był samego siebie.
Tam czarny handlarz chałatowy
Wzrokiem skupionym i surowym
Pod światło badał spodnie stare;
A tak je wznosił przed oczyma
I rozpostarte w rękach trzymał
Jak kantor, kiedy w nabożeństwo
Podnosi torę znad ołtarza...

Gdyby wypadły z rąk handlarza.
Zostałoby — błogostawieństwo.
Pralo się w kuchni. Dzień parował,
Pienił się, syczał. W balji puchła
Mydlana burza kolorowa...
Bajeczne pieśni bulgotała.
Mirażem opłynięta kuchnia.
Nad balją baśni, zgięta stała
Domowa nasza praczka stara,
Wróżka tych dni, Teodorowa.
O karbowaną blachę pralki
»Kolory« tartła, lub »kawalki«

Chabrową splókiwała farbą . . .
 Zmarszczona jak pieczone jabłko,
 Chudziutka, krucha i maleńka,
 Tak czule żyje we wspomnieniu,
 Gdy Mamie mówi po imieniu,
 A na bieliznę — bieliznička,
 Zwano ją u nas »Kocioleczek«
 I zawsze dostawała w kuchni
 »Tyciusiuneczki naparsteczek.
 Swej ulubionej »cytryniczki«.
 — Musi być w raj u dziś, I wierzę,
 Że tam aniołom suknie pierze,
 A czasem krochmalony duch jej
 Odwiedza starą łódzką kuchnię.

»Drobiara« przychodziła. Wdowa
 Po gałganiarzu. Twarz jak ziemia.
 Bogini nędzy i cierpienia,
 Godna, by wszędzie, gdzie się zjawia,
 Antyczny chór się wkrag ustawiał
 I groźne rozpoczynał pienia.
 Biegła przez miasto jakby pomór
 Ją gnał. Na dzieci chyhał.
 Od jego tchnienia i pogromu
 Pędziła za zarobkiem, dzika,
 Zaciekła, trwogą oszalala
 O »kindelach«, o dzieci . . . Miała
 Jedno przy piersi roztarganej,
 Dwoje przy kiece uszarganej,
 A czworo czekających »w domu«.
 W kącie wysłanym zgnięła słomą.
 Byłem tam z mamą. Zanosilem

Tłumok starzyzny i positek.
 Leżała chora na barłogu,
 Zmierzwionym, stęchłym i skopanym,
 Jak barłóg suki obłąkanej,
 Niemilej, widać, psiemu bogu.
 Po kobiecemu zawstydzona,
 Starala się uśmiechać do nas,
 Zgarniała słomę koło siebie,
 Lecz widać było, że myślami
 Pędzi po piętrach z kurczętami,
 Chleb zdobywając dla swych dzieci,
 I marzy tylko o tym chlebie . . .
 Kindelach zbiły się w gromadkę,
 To na nas patrząc, to na matkę . . .
 Byliśmy u niej po raz drugi,
 Byliśmy u niej po raz trzeci,
 Nie byliśmy na jej pogrzebie . . .

I kuchennemi przysła drzwiami
 Antosia, wieszczka ze wsi, saga.
 Indyjska wieszczka spod Konina
 (Gmina Golina). Bunt, odwaga,
 Hardość z wesotych oczu tryska . . .
 Ach, te jej oczy gorejące
 Jak hebanowe dwa ogniska!
 Koścista, żółtozębna, ciemna
 (Takie są noce u mongolów,
 Takie cyganki u aniołów)
 Przysła mędrzyni niepiśmienna . . .

(N. Polska)

WOJNA ZIMOWA

W budapeszteńskim »Magyar Nemzet« ukazał się interesujący artykuł p. Endre Jonasa pod tyt. »Z tajemnic wojny zimowej na Wschodzie« który drukujemy poniżej z niewielkimi skrótami. Jego znaczenie aktualne zmniejszyło się nieco wskutek łagodnego przebiegu obecnej zimy.

Walkę na froncie wschodnim, obok innych przeszkód utrudniają warunki klimatyczne. Zima rosyjska jest o wiele surowsza niż w Środkowej a zwłaszcza Zachodniej Europie. Rozległość Niziny Sarmackiej, brak wielkich zbiorników wody, wielka odległość mórz, łagodzących temperaturę powodują intensywne ogrzewanie tego terenu latem, a zimą w porównaniu z warunkami środkowo-europejskimi ochłodzenie w stopniu trudnym do wyobrażenia. Odcinek frontu od Murmańska do Leningradu leży w pobliżu koła podbiegunowego. Zima trwa tu sześć miesięcy. Zima jest tu najdłuższa, choć nie najstraszniejsza, gdyż daje się odczuć łagodny wpływ morza. W północnej części tego odcinka mróz waha się między 6—25 stopni, ale w Laponii już między 12—24 stopniami. Grubość warstwy śnieżnej wynosi przeważnie 50—70 cm.

Drugi odcinek rozciąga się od okolic Leningradu do

północnych granic Ukrainy. W tej części frontu zima trwa na północy 5 miesięcy, na południu zaś cztery. Grubość pokrywy śnieżnej wynosi na północy 20—70 cm, na południu 100—200 cm. Temperatura w części północnej ze względu na bliskość morza waha się między 10—35 stopni, nawet na odcinku południowym, lecz mróz 40—45 stopniowy nie zalicza się do rzadkości. Częste silne wiatry robią go jeszcze bardziej przykrym.

Trzeci odcinek frontu ciągnie się od północnej granicy Ukrainy do Morza Czarnego. Zima jest tu o wiele łagodniejsza i trwa zaledwie trzy miesiące. Wpływają tu na klimat olbrzymie tafle wodne Morza Czarnego i Kaspjskiego. Mróz rzadko opada poniżej 5—10 stopni. Wysokość śniegu wynosi przeważnie 8—10 cm. Z tego możemy zauważyć, że na froncie rosyjskim nawet na najłagodniejszym odcinku zima trwa dłużej niż u nas, a więc wywiera większy wpływ na działania wojenne niż w innych częściach Europy. Obok paralizującego wpływu zimy na organizm ludzki odczuwa się go również przy użyciu broni i urządzeń technicznych oraz w komunikacji.

Obok wyborowego materiału ludzkiego najważniej-

szym czynnikiem wojny jest doskonałość broni. W doświadczeniach europejskiej techniki bojowej nie liczone na mrozy około 40 stopni, tak więc część broni stała się w niezwykłym mrozie niezdatna do użytku. W walczących obronnych w temperaturze 40 stopni przyjęła się tylko broń najprostszej konstrukcji. Skomplikowana broń o precyzyjnej budowie stała się szybko niezdatna do użytku. Naprawianie jej lub zamienianie części przysparza wiele kłopotu. Broń podczas wielkiego mrozu zamarza, a tłuszcze i oleje sztywnieją. Jeśli karabin maszynowy tak zamarznie to przed oddaniem strzału trzeba go ogrzewać. Naturalnie przy niespodziewanych natarciach nieprzyjaciela niema na to czasu. Smary do broni używane w Europie w chwili wybuchu drugiej wojny światowej wytrzymywały temperaturę 20—25 stopni, ale w wypadku większego mrozu gęstniały, przy 40 zaś stopniach zamarzały zupełnie. Po pierwszej wojennej zimie rosyjskiej technicy bojowi pospieszyli na pomoc frontowi przygotowując nowe smary i oleje, które dobrze znosiły temperaturę 40 stopni.

Drugi kłopot sprawiało chłodzenie broni automatycznej. Wiadomo, że po większej części karabiny maszynowe chłodzone są wodą. Zrozumiałe jest więc, że woda ogrzana przez rurę przy oddaniu strzału, w przerwie zamarzała i często nawet rozsadzała pochwę ruty. Podobne trudności zdarzały się przy ładunkach artyleryjskich, gdy szybkość cofającej się podczas wystrzału lufy hamował płyn zawierający mieszaninę wody i gliceryny. Ponieważ na początku kampanii rosyjskiej płyn ten nie zawierał dostatecznej ilości gliceryny, której punkt zamarzania jest o wiele niższy niż wody, więc płyn zamarzał i często poważne pęknięcia uniemożliwiały działanie armat. W lufach broni w wielkim mrozie często skrapla się para powstała przy wystrzale, szybko zamarza i w ten sposób pojemność lufy zmniejsza się, jeżeli teraz ktoś chce wystrzelić z takiego działa o zamarzniętej lufie to ładunek utknie w lufie i spowoduje jej rozsądzenie. Jedyną na to radą jest częste czyszczenie. Mroźna zima rosyjska potrafi wywołać niezwykle objawy przy miotaczach ognia. Materiałem miotaczy ognia jest nafta lub benzol, które jeśli znajdują się długo w zbiornikach to pod wpływem zimna gęstnieją, albo wręcz zamarzają. W takich wypadkach zgęszczone powietrze nie potrafi wycisnąć ich ze zbiornika. Ogrzewanie przed użyciem trwa bardzo długo, dlatego też zimą nalewa się do miotaczy ognia oleje gęstsze odporniejsze na mroź.

Wiadomo, że pod wpływem mrozu ciała kurczą się, powietrze jest zimną gęstsze niż latem. Powietrze to stanowi dla lecącej kuli większą przeszkodę niż letnie rzadsze i przez to zmienia się zimną nośność dział. W zwykłej zimie europejskiej zmiana nośności jest nieznaczna, ale pod wpływem wysokich mrozów rosyjskich jest już poważna. Według obserwacji poczynionych podczas zimowych kampanii wynika, że na 3000 m pociski padają o 250—300 m bliżej niż latem. Ponieważ taka różnica jest już znaczna przy dalekonośnych działach dlatego zimą bywa w użyciu specjalna tabela, która szczegółowo poucza o zmianie toru przy różnych temperaturach.

Odpowiednie przechowywanie prochu też sprawia dużo kłopotu. Wilgoć bowiem jest niebezpiecznym wrogiem środków wybuchowych, ponieważ proch łatwo nią nasiąka, a wilgotny proch niema tak silnego skutku jak suchy o ile wogóle się zapali. Tak więc odpowiednie natuszczanie ładunków jest zimą o wiele ważniejsze niż zwykle. W wielkim mrozie ocenianie odległości i celowanie napotykają również na nieoczekiwane trudności. Lunety zwykle i lunety używane przy nastawianiu dział, instrumenty optyczne artylerii pod wpływem wielkiego mrozu od najmniejszego oddechu okrywają się szronem a para tak mocno przymarza do szkielek że lód można stopić tylko ogrzewaniem, ostrym narzędziem zaś nie można dotknąć precyzyjnych szkielek ponieważ łatwo je można uszkodzić. Dziś ważne urządzenia optyczne i celownicze ogrzewane są drogą elektryczną i w ten sposób ich szkła nie zasnuwają się parą. Specjalnie trudne jest obchodzenie się przy tak niskiej temperaturze z częściami metalowymi maszyn. Ochładzają się one bowiem do tego stopnia, że zdzierają człowiekowi skórę. Działanie pojazdów motorowych napotyka również na trudności. Jeśli pojazd mechaniczny musi przystanąć to motoru się nie wylęcza, ponieważ w tym wypadku zamarzłyby i przed ruszeniem trzeba by go podgrzewać ogniem. Można sobie wyobrazić jak prędko ogień płonący na otwartym terenie wzbudza zainteresowanie samolotów nieprzyjacielskich. W niezwykłym mrozie działanie radia i telefonu jest bardzo utrudnione ponieważ czerpią one prąd z akumulatorów napelnionych roztworami, które łatwo zamarzają i rozsadzają naczynia. Przeciwdziałać temu można tylko przechowując akumulator w ciepłym miejscu albo przez zmianę ciężaru właściwego roztworu.

Obok wpływu zimna na broń i instalacje śnieg jako przeszkoda w komunikacji zalicza się do zjawisk charakterystycznych frontu wschodniego. Chodzenie po śniegu jest możliwe tylko przy pomocy nart lub specjalnych »podeszew śnieżnych«. Narty są wszystkim znane, natomiast mniej znana jest płyta o przekroju owalnym, większa od wielkości buta która w ten sposób nie zagłębia się tak w śniegu jak obuwie, którego mała powierzchnia poprostu wierce dziury podczas chodzenia po śniegu. Naturalnie nie należy przypuszczać, że w półmetrowym śniegu nie można iść pieszo kilkaset metrów, ale dłuższe marsze nie bardzo są możliwe w takim śniegu. Stroną ujemną »podeszew śnieżnych« jest to że przy ich pomocy chodzić można tylko powoli, tak więc piechota może się w śniegu posługiwać tylko nartami.

Oddziały narciarskie osiągają szybkość 80—100 km na dzień, a więc przewyższają piechotę, która w razie kilkudniowego marszu robi najwyżej do 40 km dziennie. Ruch pojazdów napotyka zimą na niezwykle trudności. W wielkim śniegu pojazdy armii europejskiej są niezdatne do użytku, tak więc i one i działa będące bez gąsiennic muszą otrzymać płozy. Natomiast mokry, lepki, topniejący śnieg stawia przeszkodę o wiele większą. Tempo marszu zmniejsza się o połowę: ślizgawica, śnieg wciśnięty w koła i łańcuchy pojazdów wystawiają na próbę ich wytrzymałość i nerwy obsługi. Specjalnie trudne

są warunki komunikacji na środkowym odcinku frontu gdzie miały miejsce w ubiegłych latach największe ataki sowieckie, ponieważ pokrywa śnieżna osiąga tu grubość 1—2 m, a częsty wiatr usypuje prawdziwe góry śnieżne, na terenie i na drogach.

Najcenniejszym środkiem komunikacji na froncie wschodnim są zimą sanie. Rosjanie używają sanie na szerokich płozach, które dzięki swej powierzchni nie pogrążają się prawie w ogóle w śniegu. Ciągną je małe

zwinne koniki. Pojazdy te poruszają się doskonale tam gdzie tanki odmawiają już posłuszeństwa. Wojska sowieckie używają w wielkich ilościach sanń motorowych ze śmigłami. Służą one do dowozu zaopatrzenia często jednak używane bywają do transportu broni, a nawet rannych.

Z powyższego można zauważyć ile niezwykłych przeszkód utrudnia powodzenie i planowanie działań wojennych na froncie wschodnim.

Z OPOWIADANIA LOTNIKA

POMYŚLNE WIATRY

... I oto widzę znacznie poniżej i z przodu trzy punkciki. Ja do nich. Rosną w oczach. Lecz tylko trzy — więc nie moi. Błyskają w słońcu na tle niższej, ciemnej chmurki. Garbią się... pęcznieją w głowach... i już wyraźnie rzeźbią się kształty trzech Fockewulfów.

Serce zaczęło walić niby młotem... Bliżej — myślę — bliżej... Jestem zupełnie na tle tarczy słońca, patrząc od nich. Nie powinni mnie zauważyć aż do ostatka... Zacznę od prawego, z bardzo bliska, i będę ich miał wszystkich, zanim się ockną... Wszak zaskoczeni kompletnie.

Obejrzałem się jeszcze do tyłu, czy tymczasem ktoś inny o mnie podobnych marzeń nie snuje?... No, czas... Odległość jakichś 150 jardów (jard — trzy stopy — 91, 47 cm). Celownik tak wyraźnie świeci na tle ciemnej chmury. Środek ognistego pierścienia kładę nieco na garb kabiny... i zadrżał Spitfire, ziejąc ogniem.

Fockewulf drgnął, przechylił się na prawe skrzydło ozłocił w słońcu swój czarny krzyż na boku, jakby zamarł bez ruchu... I tylko odległość zaczęła wzrastać między nim a pozostałymi jego towarzyszami.

Więc cóż, za mało ci? — myślę. Gdzież dym i ogień?... Wszak to jest takie ważne dla naszych »inteligentów« (oficerów wywiadu)... No, to dołożę...

I znów się składam. Odległość minimalna. Celownik pełen krzyża... Naciskam spust... błysnęło... buchnęło... zawirowało...

Widziałem go wszędzie, nade mną i pode mną. Przemknęła myśl, by się nie zderzyć z kawałkami.

Spojrzałem w lewo. Dwa pozostałe są już jakieś 200 m. wyżej ode mnie i z prawego skrzydła plują ogniem. Wiać! — przyszła błyskawiczna decyzja. Robię gwałtowny skręt w prawo w górę. Szybkość ogromna. Czuję, jak wgniata mnie wabinę, a kolory nieba i ziemi zlewają się w jakąś szarą masę. Mroczy. Przyciskam broń do piersi — odruch zapobiegawczy przeciwko mroczeniu. Wzrok wraca. Jeszcze chwila, a dam nura w sam środek tarczy słonecznej, a wówczas już wszystko dobrze... Nie trafią, nie zobaczą mnie na tle słońca. Lecz oto maszyna drgnęła raz i drugi. Wydało mi się, że podwozie otwarło się. Sprawdzam rączkę, patrzę na wskaźniki — w porządku. Dostałem — myślę. Czekam dalszych objawów. Może ogień wybu-

chnie? Głowę mimowoli wciągam w ramiona. Kurczę całe ciało, by zrobić jak najmniejszy cel i skryć je całkowicie za płytę pancerną. Czekam tego nieznanego mi jeszcze uczucia — trafienia pociskiem. Wtem zalało mi całąabinę. Nie widzę nic, ani instrumentów w kabynie, ani horyzontu na niebie, mknę w środek słońca.

... Już teraz nie trafią, są tak samo oślepieni, jak ja. Kontroler podaje mi kurs. Właśnie ten kurs utrzymywałem od początku. Radzi mi skakać z 4000 stóp. Odpowiadam, że »rozmieniłem już ostatni dziesiątek«.

Nagle skoczył Spitfire, jakby szarpnięty jakąś dodatkową siłą, do przodu. To sprężarka się włączyła. Teraz już mam całkowitą moc silnika — jestem panem sytuacji. Oglądam się poza siebie. Dzieli mnie od mych prześladowców już całkiem bezpieczny dystans. A za chwilę wogóle straciłem ich z oczu. Jeszcze chwila i wpadam na brzeg Kanału, mniej więcej w środku między Le Havre i Cherbourg. Odetchnąłem z ulgą. No, to się udało korsarstwo. Teraz tylko do domu wrócić, a to przecież już drobnostka i — taki sukces... Zdjęć z tak bliska chyba jeszcze nikt nie przywiózł...

Przełączam radio na nadawanie i słę meldunek do dowódcy, że miałem walkę i wracam do domu. Słyszę rozmowy dyonu, lecz bardzo dalekie. No, to teraz najkrótszą drogą do domu, myślę. Pozostawiam trochę z lewa zbawioną tarczę słońca, która jakby zamknęła mnie w swoich objęciach, chroniąc przed kulami F. W. (skrót nazwy »Focke-Wulf«). Wdzięczny jej jestem, lecz już teraz czuję się bezpiecznie, widzę brzeg Anglii i nic, zdawałoby się, już mnie nie dzieli od szczęśliwej chwili powrotu i opowiadań o przygodzie.

I właśnie w tej chwili błęgiego zadowolenia i wprost dziecięcej radości z przedsmaku opowiadań o sukcesie, nagle, jak grom z jasnego nieba, przerwanie silnika postawiło wszystkie moje włosy dęba. Fala ciepła i zimna kolejno uderzają mnie w twarz. Myśli tłoczą się gorączkowo do głowy. Może ciśnienie benzyny spadło na wysokości? Przełączam ciśnienie, przestawiam manetki na wszelkie możliwe kombinacje — lecz nic nie pomaga. Śmigło obraca się tylko pędem powietrza. Naciskam guzik wskaźnika ilości benzyny. Nieublagana rzeczywistość dochodzi do mej świadomości w postaci zera na zegarze. Szukałem przyczyny defektu

silnika wszędzie — tylko nie w braku paliwa. Przecież powinienem go mieć minimum jeszcze na pół godziny? ! Lecz zegar mówi wyraźnie a silnik potwierdza jego wskazania kategoryczną odmową dalszej pracy. — Cóż dalej? — Mam 25000 stóp wysokości. Brzeg francuski pode mną, a od Anglii dzieli mnie jeszcze prawie 100 mil wody (jedna mila angielska — 1760 jardów — 1609 m). Ratować życie, zawrócić i siadać we Francji — to znaczy iść do niewoli. Skakać do morza tak daleko od Anglii przed zapadnięciem nocy — to wielka niewiadoma . . .

Naciskam guzik i wołam »May Day«. Za chwilę nawiązałem już kontakt z kontrolerem Ops. Room (operations room — izba lotów bojowych). Namierzają mnie. Wszystko idzie sprawnie, ten żywy głos z Anglii przyniósł mi trochę otuchy. Rozmawiam zupełnie spokojnie. Nadaję fixy, a w międzyczasie opowiadam o wszystkim, co się zdarzyło, że miałem walkę, że zestrzeliłem jednego, że bardzo mi szkoda zdjęć które przyjdzie utopić wraz z samolotem. Planuję dość długo. Wydaje mi się, że minąłem połowę Kanału.

Nieubłagana chwila zbliża się. Przygotowuję się. Zdejmuję rękawicę, otwieram budę kabiny i drzewiczki. Minąłem już chyba dwie trzecie Kanału. Odpasowuję się, jeszcze raz mówię do kontrolera, że za chwilę (będę skakał. Odpowiada: »Jesteś już niedaleko, nie będziemy cię długo trzymać w wodzie«. Zdejmuję haubę, a z nią i mikrofon. Łączność ze światem zerwana. Wysokościomierz wskazuje 5000 stóp. Duszę maszynę do nabrania większej szybkości . . . Szepczę: »Boże ratuj!« Zaczynam przewracać maszynę na plecy. Czuję, jak wytwarzające się siły odśrodkowe wyrzucają moje ciało na prawą burzę. Już do połowy jestem na zewnątrz. Nogi spadły z orczyka. Drażek sterowy wyrwało mi z rąk, a maszyna nie jest jeszcze na plecach. I teraz, nie sterowana przeze mnie w półobrocie na plecy pikuje do wody, a pęd powietrza przyciska mnie do tyłu kabiny. Robię rozpaczliwe ruchy, by złapać się za cokolwiek i wyrzucić na zewnątrz, lecz to mi się nie udaje. Szamocę się. Strach przed zbliżającą się wodą wzrasta. — Czyżby taki koniec! — myślę. Wtym udało mi się oprzeć nogę o coś twardego w kabynie. Skurczyłem się cały i z całych sił wyprostowałem się tak, jak sprężyna. Powietrze przestało gwizdać mi w uszach — byłem poza samolotem. Ręka szuka pośpiesznie rączki spadochronu. Nagłe szarpnięcie — i zawisłem pod białą czaszą. Westchnienie ulgi.

Brzegu nie widać. Spojrzałem wdół, by ocenić odległość od wody. Wzburzone morze napełnia mnie przerażeniem. Uruchamiam butelkę napełniającą »Mae Westkę« (kamizelka ratownicza). Butla przestała »syczeć«, lecz na oko widzę, że »Mae Westka« zamała napełniona. Chcę dopompować ustami przez wąż, lecz już nie ma czasu. Białe zwały piany są tuż pod nogami. W następnym momencie czuję zetknięcie się z wodą. Uderzam po klamrze, by się z pasów uwolnić i zanurzam się cały pod wodę. Zaczynam pracować rękami, by się wydostać na powierzchnię, a po chwili widzę, jak więdnie czasza spadochronu na środku niby góry-fali i oto wraz z całą masą wody zostaje rzucona

wprost na mnie. Moje nogi zaplątały się w linki spadochronowe i tonący już spadochron ciągnie mnie za sobą.

Co chwila fale zalewają mnie z głową. Zgarniam nogami linki z mych nóg, pomagam rękami odplątać się z nich, ale tonę, gdy tylko pływać rękami przestaję. »Mae Westka« prawie wcale nie trzyma. Fale uderzają mnie w twarz. Już piję słoń, gorzką wodę, już kaszlę. Podciągam dinghy (łódka gumowa), by ją uruchomić. Jeszcze butli nie znalazłem, a już muszę ją zostawić, by znów na powierzchnię wody się wydostać. Wreszcie po kilku próbach mam butlę już w ręku na moment, ale przetyczki korka znaleźć nie mogę. I znów ją rzucam i pływam rękami, kaszląc i zachłystując się. Czuję, jak siły mnie opuszczają. Robi się szaro. Dokoła trzymetrowe ściany wody.

Znów zbieram resztki sił i podciągam dinghy po sznurze, znów szukam przetyczki. Kręcę napróżno nieruchomy korek. Drapię z rozpaczą paznokciem każdą śrubkę, lecz wszystko napróżno. I znów jestem pod wodą. Więc rzucam dinghy i wydobywam się na powierzchnię.

Wtem mewa zawisła nade mną, przekrzywiła główkę na bok i patrzy. O ptaszku! Widziałeś już nie jedną taką tragedię . . . A ona krzyknęła coś na pożegnanie i odleciała. Więc to chyba koniec — myślę. Taki jest koniec drugiej wojny światowej dla mnie. A jutro będzie w gazecie: »Jeden myśliwiec nie powrócił« — Czyż kto wie, prócz tych, co »nie powrócili«, ile rozpaczy i zgrozy zawiera to słowo. Lideczko, w ten sposób wdowa zostaniesz . . .

I myśl! o niej znów mi siły do walki wróciła. Dinghy obciąża mnie w dół. Bezużyteczny balast — myślę — może odcepić? Popływam na samej »Mae Westce«, dodmuchawszy ją więcej. I już znalazłem ręką karabińczyk od taśmy, próbując odcepić — jakoś nie mogę. A no, spróbuję jeszcze, po raz ostatni, zanim ją rzucę. Podciągam bezkształtną masę gumy, odnajduję butlę i spostrzegam kółko druciane, odchylone od korka. Jeden ruch i kółko wyrwane, korek przekreślony i butla syczy. Boże, dzięki Ci — modłę się głóśno. Dinghy nabiera kształtów tak upragnionych. Zaczynam włączyć do niej, lecz to sprawa nie taka prosta.

Trzymając się za rączki dinghy, pływałem czas jakiś, odpoczywając. Następnie wziąłem się za dwie dalsze rączki i wciągnąłem się do połowy. Wreszcie zebrawszy dostateczną ilość sił, obróciłem się i usiadłem właściwie. W głowie mi się kręci. Co chwila targają wymioty.

Jest już prawie ciemno. Wyczerpuję wodę z dinghy. Rozgrzewam się nieco robotą. Zapinam fartuch na nogach, naciągam tylny z kapturem na głowę, chowam zmarnięte ręce pod fartuch no i myślę — byle do rana wytrzymać. Z rana przylecą i wyłowią. Wtem przerażenie przerwało moje słodkie marzenia o ratunku. Oto fala, jak dom wielka, mknie wprost na mnie. Tony wody zwały się na mnie, a potężne uderzenie przewróciło moją dinghy do góry dnem. Już zachłystuję się wodą, wisze w dół głową pod wodą. Strach śmiertelny ogarnia.

Rozpaczliwym wysiłkiem szarpnąłem i rozdarłem tylny fartuch, kępując ramiona i ręce. Wyjrzałem z pod dinghy, zaczerpnąłem powietrza i znów walczę pod wodą, aby uwolnić nogi. Wreszcie uwolniłem się całkowicie. Z trudem odwróciłem dinghy i znów na raty, nabierając sił po każdym ruchu, wlałem do niej. Uwiązałem się na długim sznurku do dinghy i następne razy, gdy mnie przewracało, a było ich siedem w ciągu nocy, nie miałem już obawy zgubienia dinghy, ani trudności w wydobyciu się spod niej.

Teraz los mój w moich rękach, myślę. O świcie ratunek pewny. Tylko wytrwać do świtu. Nie dać się falom. Postanowiłem wygrać tę walkę o życie... *Lew. K.*

BARBARA KRÓL

PAX VOBISCUM

*... Złote łachy tętniące tubinem,
Czysta gorycz kępiastych piołunów,
Konieczyny pola blade-sine.
... Z łąk opada reszta mgieł-calunów.*

*Ostry, jasny, dziki krzyk pastuszy,
Z ognia szare dymy idą smuga
Żabi rechot — świergot ptasi głuszki
Bydło z pola płynie rdzawą strugą.*

*... Czarne skiby, lepkie a wilgotne
Przeskakują obdarłe dzieciaki,
Włosy jasne, nogi czarne błotne
(Do dom niosą kradzione ziemniaki).*

*Dworskie zboża złocą się serdecznie,
Zapach święty, chlebny, prosty niosą
Gryk zagony, geste, duszne, mleczne
Jutro świtem wyperłą się rosa.*

*... Drżące, krągłe pierścienie na stawie,
W liście puste klaszczą tataraki,
Rude chwasty wtlaczają się w trawę,
Dzień żegnają schrypłym krzykiem ptaki.*

*Kundle wyją niedobranym chłosem,
Ryczą krowy w cieplej obór głębi,
Prosią para babrze się pod murem
Lata stado zmęczonych gołębi.*

*... Przy wąskiej, wybojnej drodze
Gdzie czarny słup krzyża schylony,
Pan smutny a frasobliwy
Krzykliwe naucza wrony...*

Sprzedaż pod ziemią

«Berliner Börsenzeitung» przynosi interesujący artykuł z życia stolicy Rzeszy, który poniżej cytujemy w wyjątkach.

— W centrum stolicy niemieckiej, gdzie do niedawna istniały wspaniałe magazyny, dziś w następstwie ataków lotniczych widzi się zgliszczce. Na miejscu pewnego wytwornego sklepu widnieje napis: «Sprzedaż w piwnicy». W czasie drogi przez schody i korytarze inne orientacyjne znaki rzeczywiście prowadzą pod ziemię. Tu autor artykułu, opisując urządzenie sklepów podziemnych, dodaje: — aż dziw, że właściciele mogą zaspokoić resztkami ocalałych towarów wymagania klienteli, składającej się w przeważnej części z nieszczęśliwców, którzy w czasie ataków postradali najważniejsze przedmioty codziennego użytku. Właściciel oczywiście również często wszystko stracił, a to co sprzedaje częściowo otrzymał od prowincjonalnych firm branży pokrewnej, częściowo zaś wydobyl z zapasów ulokowanych w innych miejscach. Nie trzeba dodawać, że nie przyszło mu to lekko.

Po przejściu paru kroków dalej, — pisze gazeta — nowa wywieszka informuje nas, że wskutek całkowitego zniszczenia składu, firmę konfekcyjną przeniesiono z ulicy głównej do jednej z piwnic w ulicy bocznej, gdzie się teraz odbywa sprzedaż. Tak więc istniejący od lat dziesiątek, wielki dom towarowy musi się dziś zadowolić piwnicą. Na oświetlonych podziemnych korytarzach widać ruch, gdzie nigdzie słycać stuk maszyn do pisania. Na półkach naprędce skleconych widnieją towary tekstylne, ubrania i sztuki bielizny. Coprawda z sufitu woda jeszcze ciecze i grozi zalewem «sklepu», ale praca nieprzerwanie trwa. Walka z wodą i wilgocią — oto najtrudniejsze zadania, z którymi pracownicy nie mogą się uporać. Bronią się przy pomocy wiader, wanien i innych naczyń. W pięciu czy sześciu miejscach pracownicy stojąc w paltach, okryci szalami, obsługują klientelę. W międzyczasie zaś nie pomijają okazji ażeby zetrzeć z linoleum napływającą wodę. Kierownik działu konfekcji, chwając się szybką organizacją sklepu w nowych warunkach, powiada — przedewszystkiem sami wzięliśmy udział w gaszeniu pożaru, potem trzeba było przenieść z piwnic 140 centarów węgla. Zmuszeni z wielkim trudem odbudować nowy skład, ledwośmy się z tym uporali, gdy przyszło największe niebezpieczeństwo — zalew. W piwnicznym sklepie była woda do wysokości 1 metra. Znowu musieliśmy przenosić towary w inne miejsce.

Przechodząc krok za krokiem dzielnicę Berlina, często się napotyka wywieszki, wskazujące nowe piwniczne siedziby spalonych magazynów. A wtedy przychodzi człowiekowi na myśl, jakie trudne warunki zmuszały ich właścicieli do pomysłowości i pracy, aby te nowe miejsca sprzedaży zorganizować. Roboty było nie mało. Tu trzeba zaimprovizować ladę, tam sklecić półkę z kilku desek, wilgotne, szorstkie ściany okleić kartonem lub papierem, albo w najlepszym razie obić deskami.

Wszystkie te prace trzeba przeważnie wykonać własnymi siłami pracowników przedsiębiorstwa.

«Sprzedaż książek począwszy od końca stycznia, odbywać się będzie naprzeciw dawnego naszego składu — ogłasza wywieszka na ruinach — wielki berliński księgarz. Już z daleka dobiegają odgłosy, świadczące, że tam trwa praca przy urządzeniu nowej siedziby. Inni księgarze przenieśli sprzedaż na place publiczne: do wózków, straganów, kiosków a niektórzy na dworce kolejowe.

W podziemnej księgarni dwóch subiektów porządkuje książki zakupione prywatnie lub oddane w komis. Praca, prawdę powiedziawszy płynie dniem i nocą, — mówią — ale jeszcze tygodnie upłyną zanim rozpoczniemy sprzedaż we właściwych sklepach. Przecież w czasie ostatnich nalotów nawet nasze dobrze zabezpieczone składy uległy zniszczeniu. Przede wszystkim należy ukończyć roboty przy sprzątaniu, potem dopiero można przystąpić do segregacji tego, co oszczędził ogień.

Oto Berlin, — kończy autor artykułu, chwając silne nerwy miasta i pracę, która w zmienionych warunkach trwa.

ZE ŚWIATA

CO SIĘ DZIEJE Z NAGRODĄ GONCOURTÓW?

Żywo zajmuje się tym zagadnieniem światowa prasa w języku francuskim. Współpracownik «*Courrier de Genève*», postanowił dowiedzieć się u źródła dlaczego nie przyznano w roku 1943 jednej z najważniejszych nagród francuskiej literatury. W tym celu odszukał w jednej z zapadłych miejscowości Pirenejów znanego powieściopisarza Rolanda Dorgèles który złożył następujące oświadczenie dla szwajcarskiego pisma: — od czerwca roku 1940 członkowie Académie Goncourt «schłópieli». Nasz prezes — J. H. Rosny osiedlił się w Bretanii, Lucien Descaves w Deauce, Lavarende w Normandii, Benjamin, w Couranai, Carco w Szwajarii a Ajalbert w Quercy. Jedynie Sacha Guitry przebywa dalej w Paryżu. W tych warunkach uciążliwie byłoby odbywać długie podróże, dlatego głosowanie odbędzie się drogą korespondencyjną. Może pan spokojnie napisać, że nagroda będzie przyznana za kilka tygodni.

Potym reporter wyszukał Francois Carcot'a, który oświadczył: — ja głosuję na André Ailly i mam nadzieję, że go wybiorą. Liczba członków Akademii powinna wynosić dziesięć osób, gdy tymczasem obecnie jest dziewięć. Na dziesiątego członka rozpisano głosowanie w ramach wewnętrznych.

W HISPANII — jak donosi prasa węgierska — grupy lewicowe na tajnym posiedzeniu ustanowiły «najwyższą Radę Unii Narodowej» oraz zdecydowały walkę przeciwko obecnemu porządkowi.

RYZYKOWNY EKSPERYMENT. Profesor Isty z Uniwersytetu w Bukareszcie wraz z jednym ze studen-

TADEUSZ FANGRAT

NIEDOCIECZONY WĄTEK

*Wywłókł nas wczoraj z mrocznych snów
wicher trzęsący przedmieściami
na koleiny szorstkich dróg,
groźących w przepaść zejściem,*

*wierny ci jestem. Idę tam,
gdzie zechcesz i gdzie każesz,
kędy poniesie tylko nas
tan kołowrotu zdarzeń.*

*Zerwie się często szlak — to nic,
nic, że wietrzymy bezcel,
trzeba nam ciągnąć, żyć i wić,
choć czasem tak się nie chce.*

*Niedocieczony wątku snów,
udręki, pragnień, tęsknot,
nim ogra pokój z nieba nów —
życie o grób się wkleśnie,*

*zgorzknienie solą ciepłych lez
rdzawy posoką ugor,
jeszcze nie kres, jeszcze nie kres,
bo przecież już niedługo*

*z krateru śmierci wyjrzy kądźbłem
przyszłości jasnej posiew,
ale już nam zapadłym w mgłę,
los nie pozwoli dociec.*

tów postanowił wypróbować na sobie przebieg procesu umierania. W tym celu wpadł na następujący pomysł. Na dziedzińcu Uniwersytetu ustawiono szubienicę. Najpierw profesor kazał studentom żeby go powieszono, czemu też poddał się jego asystent. Dali sobie założyć i zacisnąć stryczki na szyi. Ustał dopływ krwi do mózgu a ciała zaczęły drgać w śmiertelnych skurczach. Dopiero gdy te objawy ustały, «wisielowców» wskrzyszono z powrotem. Nie prędko mogli opisać przebieg tego odważnego eksperymentu. Jednocześnie oświadczyli, że po zaciśnięciu stryczki ołsnili jakby błysk przed oczyma, potem odczuli grzmot przypominający wybuch i stracili świadomość. O drgawkach i o tym co się później działo nic nie wiedzieli.

TOMIKI WIERSZY dla ludności dotkniętej bombardowaniami rozdano w Niemczech w ramach akcji kultury ludowej niemieckiego frontu pracy. Rozdane książki zawierają prace współczesnych i dawnych wielkich niemieckich poetów.

Z DZIAŁALNOŚCI KOMITETU OBYWATELSKIEGO

ŚWIETLICE OBOZOWE

W mniej lub więcej monotonnym życiu obozu uchodźczego, bardzo pożyteczną rolę odgrywa świetlica. Szczególnie w czasokresie od jesieni do wiosny, kiedy widoki na znalezienie pracy maleją, świetlica staje się centralnym punktem życia obozowego. Zagadnienie świetlic przybiera szczególnie na wadze w miarę przedłużania się naszego pobytu na obczyźnie, kiedy to choroba (istotna lub też urojona) zwana psychozą uchodźczą zwiększa swe natężenie. I trudno się temu dziwić, że ludzie, którzy już 5-ty rok rozgryzają w sobie różnolite troski w beznadziejnie długie wieczory zimowe, gorzknieją i tetryczą. Jeśli zważywszy również, że naogół w izbach obozowych jest przeraźliwie zimno — opał bowiem dzisiaj jest luksusem — to łatwo pojąć, świadome u jednych, podświadome u drugich rozglądanie się za jakimś przytulnym kątem, gdzieby się można było gromadnie zejść i jakimś pożytecznym a miłym zarazem zajęciem zabić czarne myśli i melancholię.

Ale to nie jest jedyny powód, dla którego należy organizować świetlice w możliwie najszerszych ramach. Świetlica ma spełniać w obozie nie tylko rolę samopomocową ale również, i to przede wszystkim, rolę obywatelniania uchodźców. Ktokolwiek zastanowił się nad przeobrażeniami duchowymi uchodźstwa, ten rychło zauważył, że prócz wielu innych mniej lub więcej ciekawych zjawisk, na czoło wysuwa się stale pogłębiający się proces aspołecznicwa.

Szerzy się nagminnie egoizm, sokbostwo, przewrażliwienie ambicji osobistych a co za tym idzie swarliwość i malosłokowość. Ludzie zmięniają się na drobne — oto jakby to najkrócej określić można było. Jakże to zjawiska pociągają za sobą następstwa z punktu widzenia społecznego — nie trzeba dowodzić.

Miał skupiać w sobie energię, jednoczyć nasze potencjały i przynieść je w pełnej aktywności do Kraju, często rozsypujemy się jak piasek. Skąd się to bierze? Przyczyn jest wiele, na analizę których miejsca tutaj nie ma, dość podnieść tutaj jedno a mianowicie to, że każdy z uchodźców dawniej w Kraju był jakimś niemią związany z jakąś mniejszą lub większą grupą, społecznością, która nie pozwalała mu chodzić samopas. Cechą każdej grupy bowiem jest wytwarzanie więzów dyscypliny, którymi obejmuje ona swych członków, o czym oni nawet często nie wiedzą. Otoż te więzy, w chwili naszej katastrofy narodowej zerwały się u tych, którzy ruszyli na tułaczkę. Zaczął się okres sobiepaństwa. Sprawa ta jest prosta i niezmiernie ważna, nie trzeba przeto do jej wypuklania używać górnych słów. Wystarczy powiedzieć, że jeśli chcemy wrócić do Kraju jako pełnowartościowi obywatele, którzy w państwie demokratycznym będą mieli prawo zabierania głosu —

to nie jako luzaki, sobki i zapoznane wielkości przekroczyć musimy z powrotem granicę, ale jako ludzie uspołecznieni. Uchodziliśmy z Kraju w wielu wypadkach chaotyczną kupą, wrócić musimy zorganizowaną grupą. W przeciwnym bowiem razie spotkać nas tam mogą spore nieopryjemności i zawody.

Na tym polu świetlice obozowe mają ogromne możliwości pracy obywatelskiej. Dlatego też Komitet Obywatelski żywo popiera akcję świetlicową w obozach widzi w niej bowiem znaczny czynnik uspołecznienia. W obecnej chwili istnieją świetlice w 32 obozach, dalsze są w stadium organizacji. Na prowadzenie świetlic udziela Komitet subwencji, które ostatnio wynoszą miesięcznie 2200 pengő. Rozdział subwencji dokonywa się na podstawie przedkładanych przez obozy miesięcznych sprawozdań i preliminarzy wydatków. Niezależnie od subwencji, Komitet pokrywa wydatki związane z opalaniem świetlic. Na ten cel wydał Komitet w bieżącym sezonie zimowym kwotę 7300 pengő.

Ze sprawozdań nadsyłanych przez obozy prowadzące świetlice wynika, że naogół świetlice te spełniają swe zadanie w sposób zadawalający. Całkiem odosobnione są wypadki (niestety są!), że świetlica nie stanowi atrakcji dla uchodźców.

Coż dzieje się w świetlicach? Oto parę przykładów dla ilustracji. W świetlicach urządziła się odczyty i pogadanki o bardzo rozpiętej skali. Spotykamy tam więc odczyty z zakresu historii, geografii, literatury, ustroju państwa, geopolityki, medycyny, higieny, gospodarstwa, ubezpieczeń społecznych, sądownictwa, szkolnictwa, prawa karnego i cywilnego i. t. d. Organizuje się kursy języków obcych również w szerokiej skali z esperantem włącznie. Prowadzi się też kursy rachunkowe — buchalteryjne, kursy robot ręcznych, teoretyczne kursy z zakresu komunikacji, kursy szoferskie i. t. p. Ważną rolę spełniają również sprawozdawcze referaty prasowe i żywe dzienniki. Z ramienia świetlic organizuje się także różnego rodzaju zawody jak konkursy szachowe, rozgrywki sportowe i. t. p. Przy wielu świetlicach uruchomiono chóry i orkiestry oraz zespoły dramatyczne i teatryki dzieciinne. W świetlicach wreszcie odbywają się wszelkie uroczystości, jak akademie, poranki, wieczorki muzyczne — wokalne, opłatki, święcone i. t. d. Niektóre świetlice mają własne biblioteczki, inne korzystają z bibliotek wędrownych. Podkreślić należy również rzecz ważną, a mianowicie, że w czasie imprez urządzanych przez świetlice organizuje się składki na cele społeczne jak paczki dla jeńców, organy w polskim kościele na Kósbanyi i. t. p. Niektóre świetlice, którym pozwalają na to warunki lokalowe uruchomiły również własne kuchnie, co naturalnie jest ich nieostatnim atutem atrakcyjności.

Możliwości prac świetlicowych są wręcz nieograniczone.

zione, to też kierownictwo świetlicy ma tu wielkie pole do popisu i od jego pomysłowości, żywości i inicjatywy zależy jeśli nie wszystko, to w każdym razie bardzo wiele. A podkreślamy raz jeszcze, że wysiłek w tej dziedzinie należy do najważniejszych obowiązków wszystkich kierowników życia obozowego.

ŻYCIE UCHODŹCZE

UCHODŹCY W DUNAMOC

Są miejscowości na Węgrzech, gdzie polskie uchodźstwo przebywało paru nawrotami, aby ostatecznie ustabilizować się w warunkach lepiej zorganizowanych. Do takich miejscowości należy wieś Dunamocs. Pierwszy obóz polski założony tu już w październiku 1939 istniał do końca roku 1940, później został zwinięty aby znowu w maju 1941 ożyć na nowo. Przydzielono tam uchodźców z byłych obozów w Héviz i Nagykanizsa.

O samej wsi Dunamocs można powiedzieć tyle że leży dość na uboczu od szlaków komunikacyjnych (na brzegu Dunaju między Komárom a Parkanami). Latem trzeba przejeżdżać promem na drugi brzeg rzeki a pod czas twardej zimy prosto przejść przez zamrznięty Dunaj.

W tym odosobnionym od świata zakątku żyje po dzień dzisiejszy 104 uchodźców. Z tego 50 osób mieszka w budynku po straży celnej, a reszta rozlokowana jest we wsi. Sam obóz sądząc po życiu wewnętrznym należy chyba do lepiej zorganizowanych. Grupuje w sobie ludzi samotnych i rodziny. Obecność pewnej ilości dzieci skłoniła Komitet Obywatelski do zorganizowania szkoły powszechnej. W szkole czynny jest kramik, gazetka oraz ośrodek dożywiania dzieci. Większość młodzieży zgrupowana jest w drużynie harcerskiej.

Dunamocs »starszy« cechuje spokój i zrównoważenie. Te cechy w przeciwieństwie do niektórych innych obozów o niespokojnym elemencie, zasługują na szczególne podkreślenie. Dunamocs »starszy« wie że aby przetrwać, trzeba pracować. Pracuje też: latem przy okopywaniu kokurydzy, jesienią przy winogronach, zimą zaś ma się innych zajęć przygodnych. W czasie wolnym, przenosi swoje życie do świetlicy, gdzie oprócz gazet polskich, można znaleźć prasę obcojęzyczną, a w poniedziałki posłuchać sprawozdań z aktualnych wydarzeń światowych. Panie, mają swój kącik świetlicowy a w nim znajdują nawet pismo z zakresu mód, zajęć gospodarczych i praktycznych porad. Ciekawą placówką obozu jest introligatornia, pracująca fachowo i ciesząca się zaufaniem nie tylko miejscowych Węgrów ale i polskich instytucji w Budapeszcie, o czym świadczą liczne zamówienia. Zespół pracujący w introligatorni, składa się głównie z członków miejscowego Kręgu Starszo-Harcerskiego.

Płynące cichem nurtem życie polskiego obozu, nie nastrocza nikomu kłopotów — przeciwnie doskonale zestrzaja się z płynącym obok życiem wsi węgierskiej. Zdają sobie z tego sprawę władze gminne idące Polakom

na rękę i wiedzą o tym dobrze sami uchodźcy, którzy postępowaniem swoim zasłużyli sobie na szacunek i poparcie naszych gospodarzy.

PORANEK LITERACKI W VÁC.

W dniu 28 stycznia rb. w ośrodku młodzieżowym w Vác odbył się dla dzieci starszych poranek literacki, w ramach którego Tadeusz Fangrat recytował swoje utwory oraz tłumaczenia z literatury węgierskiej. Radość z jaką młodociani słuchacze przyjmowali autora i wykonawcę, świadczyła o dużej potrzebie słowa polskiego.

CSABANKA.

Csabanka — to obóz cywilny położony w pobliżu Budapestu, w malowniczej dolinie Pilisu. Ten miniaturowy obóz składający się zaledwie z trzydziestu osób, a istniejący od r. 1941 skupia przeważnie inteligencję. Uchodźcy w przeważnej części są związani zajęciami zawodowymi ze stolicą. Csabanka ma charakter wsi podstołecznej, stąd produkty żywnościowe są tam droższe niż w Budapeszcie.

W gorszej sytuacji oczywiście są ci uchodźcy, którzy nie mogąc sobie znaleźć zatrudnienia w stolicy, zmuszeni są dorabiać na miejscu. Pracują przy rąbaniu drzewa, przy okopywaniu winogron, w ogrodnictwie i t. p. Gospodarują przeważnie sami. Poważną trudnością w wyżywieniu jest brak mleka, przeważnie wywożonego przez gospodarzy do miasta.

Csabanka jest wsią niejednorodną pod względem narodowościowym. Stosunek ludności do uchodźców polskich jest obojętny w przeciwstawieniu do węgierskich władz darzących Polaków sympatią i życzliwością.

Te specyficzne warunki życia zapewne spowodowały, że polska społeczność uchodźcza, jak nigdzie chyba, jest gromadą zwartą i harmonijnie z sobą współżyjącą. W obozie czynna jest świetlica, gdzie od czasu do czasu odbywają się imprezy. Niektórzy z obozowiczów dojeżdżają na kursy języków obcych do pobliskiego obozu w Szentendre.

Przypominamy o wpłacie prenumeraty za bieżący miesiąc. Zalegającym z wpłatą prenumeratom zostanie wstrzymana wysyłka pisma.

Wpłaty dokonać można na konto czekowe Nr. 19.06.

»Tygodnik Polski-Materiały Obozowe« wydawnictwo kulturalno-oświatowe Komitetu Obywatelskiego dla Spraw Opieki nad Uchodźcami Polskimi na Węgrzech
Budapest, V., Géza-utca 3.

Za wydawnictwo i redakcję odpowiada JENŐ KAJTAR
Przedpłata miesięczna 1.20 P kwartalna 3.60 P.
Przedpłatę należy wpłacać blankietem czekowym na konto Nr. 19.062.

W sprawach redakcyjnych i administracyjnych należy zgłaszać się pod adresem: Budapest V., Alkotmány-utca 31. III. em. II. telefon: 12-55-20.

440439 — Drukarnia artystyczno-literacka, Athenaeum
S. A. pod dyrekcją: Antal Kárpáti.